

Jaume Cabré
Jaśnie pan
Z języka katalońskiego przełożyła Anna Sawicka

Mimo długiego, cierpliwego oczekiwania nie udało mu się zobaczyć doñi Gaietany. Ta okrutnica zrezygnowała dziś ze sjesty. Don Rafel poczuł się zdradzony, bo zamierzona sesja przy teleskopie spełzła na niczym, i bezgranicznie nieszczęśliwy. To szalone ściganie upragnionej kobiety sprawiało, że zapominał o innych problemach, nawet o tym największym, który spadł mu na głowę w fatalnym momencie, kiedy ten przekłety Setúbal znalazł w domu Perramona to, czego nigdy nie powinien znaleźć. Don Rafel nie był idiotą i wiedział, że jego los zależy teraz od dyskrekcji don Jerónimo Cascala. Ale w tej chwili o wiele bardziej niż tysiąc tajemniczych zagrożeń gnębił go fakt, że doña Gaietana zrezygnowała ze sjesty.

Odstawił teleskop. Napotkał wzrokiem swoje własne spojrzenie na portrecie pędzla Tremullesa, na poczesnym miejscu w gabinecie, i poczuł do siebie nienawiść. Westchnął. Postanowił wyjść. W domu Massó, w przeciwieństwie do sąsiadów z naprzeciwka, celebrowano teraz sjestę. To była święta godzina i służba, która nie hołdowała temu zwyczajowi, wiedziała, że nie wolno hałasować, rozmawiać i wychodzić poza pomieszczenia przylegające do kuchni. Dlatego kroki don Rafaela kierującego się do ogrodu musiały brzmieć niepokojąco i prowokacyjnie w ścianach przyzwyczajonych do ścisłej rutyny narzuconej przez doñę Mariannę. Wyszedł do ogrodu. Kapuśniaczek okazał się tak słaby, że nie dobiegało żadne kap-kap, a mimo końca listopada nie czuło się chłodu. Don Rafel lubił spacerować po ogrodzie. W takim momencie, zwłaszcza kiedy się stawało twarzą do domu, czuł dumę, że tak piękne miejsce należy do niego. A w ogrodzie, dzięki kolejnym trzem ogrodnikom, praktycznie z niczego udało się zaprojektować z rozmachem architekturę ogrodową w wytwornym guście. Owszem, don Rafael włożył w to sporo grosza. Dzięki temu mógł sobie pozwolić na wydanie w ogrodzie czterech czy pięciu podwieczorków, na tyle wystawnych, by pozwoliły ludziom zapomnieć, że w jego żyłach nie płynie błękitna krew, co jest kolejnym problemem, bo don Rafel nie raz już się zastanawiał, co by to komu szkodziło, gdyby się urodził szlachcicem, wszystko wtedy ułożyłoby się pomyślniej, zwłaszcza w kwestiach sercowych. Poczuł na twarzy słony smak morskiej bryzy.

Winna latorośl, pokrywająca dużą część fasady, powoli gubiła czerwone, jesienne liście. Rosnące przy ścianie cyprysy i wawrzyny całkowicie odmieniły domostwo, nadając mu jakby bardziej nobliwy wygląd. Spojrzał na tę część ogrodu, najbardziej wilgotną, gdzie rosły kasztany. Tam ziemia była najlepsza i sami ogrodnicy używali jej, żeby użyźnić klomby na środku. Klomby: oczko w głowie don Rafaela. Na samym środku ogrodu znajdowała się fontanna z siedzącym Kupidynem, któremu czas nieco przytarł uszu i zatarł uśmiech na twarzy. Fontannę otaczały cztery klomby, czysty czarnoziem, wzbogacające ogrodową kompozycję o żywe kolory, bo zawsze, niezależnie od pory roku, rosło tam mnóstwo sezonowych kwiatów. Latem pierwiosnki, niecierpki, pelargonie i róże, a w zimie prymulki, fiołki, chryzantemy, kalie i nagietki. Doña Marianna bez przerwy zachwycała się kwiatami, nadającymi niewymowny, niepowtarzalny charakter całości. Konsekwencją tej kwiatowej rozrzutności był wydany domowym zwierzętom bezapelacyjny zakaz pałętania się po ogrodzie, bo psy, żebyś wiedział, Rafaelu, nic tylko by niszczyły kwiaty. A koty rozgrzebują ziemię w doniczkach. Ależ Marianno! Powiedziałam: nie. Jak nie, to nie. A kiedy zapadła decyzja, reperkusje w rzeczywistości skupiły się tylko na psach: wszystkie, które kiedykolwiek przewinęły się przez pałac Massó, zostały skazane na sikanie i sranie na ulicy, bez dyskusji. Co do kotów, to jeszcze nie urodził się taki, który by je do czegokolwiek przekonał, więc nie przejęły się zakazem i wychodziły do ogrodu, jak chciały i kiedy tylko

miały ochotę, patrząc z pogardą na biedną rasę ludzką, ponieważ nie potrafi przez cały dzień spać ani wylizać sobie ubrania, ani wspiąć się na żaden stromy dach. Dlatego Turek nigdy nie został tam zaproszony i nie mógł dzielić uczucia dumy, jakie jego pan często przeżywał w ogrodzie. Dlatego teraz don Rafel spacerował, wystawiając się na drobny deszczyk, bez Turka i nie mógł liczyć na to, że pies w kilku zręcznych susach dopadnie kamienia, który kopnął, żeby wyładować swoją frustrację. Frustracja miała na imię Gaietana. A wzięła się stąd, że teraz, kiedy pogodzony z losem zamiast się do niej umizgiwać nastawił się na jej podziwianie, ona mu odmówiła swojej odległej, milczącej obecności po drugiej stronie teleskopu. Moja Gaietano o pełnych wargach.

Krzyknęła gdzieś mewa, pewnie znużona nadmiarem deszczu, a don Rafelowi ten krzyk wydał się ponurym śmiechem diabła, kpina z jego cierpienia. Zatrzymał się przy klombie najbardziej oddalonym od domu, najokazalszym ze wszystkich czterech – dlaczego akurat ten, to tajemnica sztuki ogrodniczej – gdzie zazwyczaj ustawiał teleskop, kiedy jeszcze nad rozebrane baronowe przedkładał galaktyczne mgławice, planety i gwiazdy. I wtedy pojawiła mu się w myślach twarz Elviry, mojego biedactwa, zupełnie bez uprzedzenia, jak zwykle. Ten przelotny, bolesny obraz poruszył czułą strunę i wywołał gorzkie wspomnienia... Zresztą jak zawsze, kiedy myślał o biednej Elvirze.